

Kronika tygodniowa.

Wakacje skończyły się więc, a z nimi i lato, zbliża się wielkim krokiem jesień. Czy to będzie piękna, polska jesień, o której niegdyś śpiewali poeci, tego powiedzieć nie można, by się nie narażać na zarzut naszych „przyjaciół”, że Polacy są tak zachłanni, iż chcą dla siebie zaanektować nawet i jedną porę roku, która, jako taka, powinna być międzynarodową, a dla nas może być „w drodze łaski” o tyle piękną, o ile da nam sposobność do zebrania resztek plonów i wysłania ich tam, gdzie na nie czekają. Przyjaciół zaś takich mamy dość. Zachód żąda od nas, byśmy na jego rzecz wyzbyli się wszystkiego, co potrzebne dla ciała, które, jako grzeszne, na pierwszy plan wysuwa obżarstwo i pijaństwo, gdy natomiast Wschód, reprezentowany przez naszych braci stryjecznych, nazywających się dziś Ukraińcami, radby nam odebrać wszelkie zdobycze kulturalne, jakie od wieków porobiliśmy z tamtej strony Sanu. „Nie kładąc tamy dobroczynności”, wzięliby chętnie i to, co mamy po lewym brzegu tej rzekomo granicznej rzeki, wychodzą bowiem z tej zasady, że, im Małopolska będzie mniej, tem dla niej lepiej, gdy tymczasem Ukraina powinna i musi otrzymać te granice, jakich nigdy nie miała.

Te ostatnie, nazwijmy je polityczne uroszczenia są utopią, która nigdy nie doczeka się urzeczywistnienia, własności bowiem swojej nigdy się nie wyrzekniemy, gorzej natomiast będzie z zaspokojeniem zachoduich apetytów, utrzymujących stale, iż Galicya na to jest tylko stworzoną i w poczet krajów koronnych monarchii zaliczoną, by im nie brakło.

Żniwa jeszcze nie ukończone i niewiadomo dotąd, jaki ich ostateczny wynik pod względem wydajności ziarna, a już z góry przeznaczono, ile Galicya ma mieć do pozbycia zboża, ziemniaki także jeszcze nie wyjrzały na światło dzienne, a już ostrzą się na nie apetyty, zwłaszcza, że pan dr. Schleicher, wiceprezydent miasta Lwowa, raczył najłaskawiej orzec, iż urodzaj jest znakomity, Galicya więc może odstąpić sporo innym prowincjom. O ile mi się zdaje, pan dr. Schleicher jest z zawodu prawnikiem, na ziemniakach i ich urodzaju znać się przeto musi, choć znów agraryusz, tak wiecie, jak i mniejsi, są zupełnie innego zdania i twierdzą, iż tegoroczny zbiór ziemniaków będzie daleko gorszy, niż w poprzednich latach. Pod jednym krzaczkiem, choć nad ziemią pięknie rozrośniętym, siedzi sobie spokojnie po dwa lub trzy ziemniaczki, gdy natomiast po inne lata było ich tam po kilkanaście. Tem się też tłumaczy, że już dziś, gdy ziemniaków powinno być coraz więcej, a cena ich tem samem spadać, za kilogram płacić się musi powyżej korony i trzeba być zadowolonym, że się je dostało.

Można więc być na to przygotowanym, że z ziemniakami, wbrew orzeczeniu fachowemu pana dra Schleichera, złożonemu we Wiedniu, będzie jeneralna kłapa, a zupełnie to samo powiedzieć się musi i o innych jarzynach, na przykład o tak popularnej dotąd u nas kapuście. Czego nie wypaliło słońce, to, zamiast ludzi, zjadły gasienice, bo i one starają się o zaspokojenie swych apetytów, nie oglądając się przytem na żadne zakazy i rozporządzenia.

Nie tak więc pięknie przedstawiają się tegoroczne galicyjskie zbiory, co powinny wziąć pod uwagę miarodajne czynniki, pragnące w naszym kraju widzieć ziemię obiecaną, mlekiem i miodem płynącą.

Trzeba więc być na to przygotowanym, że na jesień, a zwłaszcza zimę, musi się porządnie przyciągnąć pasa, a równocześnie też i na „małkowe jere-miady”, bo wiadomo, że żołądek ma taką paskudną mazurską naturę, iż mruczy, gdy jest próżny!... Chyba... Chyba, że okaże się prawdą, a nie zwykłą kaczką dziennikarską, już po kanikularnym sezonie, szumne doniesienie pism codziennych, zatytułowane: „Epokowy wynalazek przeciw wygłodzeniu”.

Czytamy tam, co następuje:

„Pisma niemieckie donoszą z Zurychu: *Neue Züricher Nachrichten* podają: Nadzieja koalicji, że zdoła wygłodzić państwa centralne, nie była nigdy bardziej iluzoryczną, jak w chwili obecnej. Po długotrwałych wszechstronnych badaniach, prowadzonych przez powagi naukowe w sprawie nowego, epokowego odkrycia w dziedzinie wyżywienia publicznego, rozpoczęto obecnie fabryczne wytwarzanie nowego środka odżywczego. W stosownym czasie tajemnica zostanie uchylona i podana do wiadomości ogółu”.

W górę więc serca, a jeszcze wyżej żołądku. Epokowe odkrycie pozostaje wprawdzie na razie tajemnicą, ale miejmy nadzieję, że rychło ona nchylona zostanie, a tymczasem „niech głodni nie tracą nadziei...”

Ale, co to będzie, spyta może ktoś z Czytelników, ja jednak nic mu na to nie odpowiem, bo sam nie

nie wiem i, jak reszta ogółu, zadowolić się muszę tylko „przyjemnem oczekiwaniem”. Pomysłowość ludzka jest wielką, objawia się w najrozmaitszych zakresach, dla czegoż więc i w kwestyi aprowizacyjnej nie mogłaby znaleźć pola do popisu. „Pomysłowość aprowizacyjna”, to tytuł najnowszego dzieła, jakie się niebawem pojawić ma na półkach księgarskich i zastąpić używane dotąd książki kucharzkie, które dziś zeszły do rządu bajek z tysiąca i jednej nocy. Na której karcie otworzysz to źródło dobrego humoru, wszędzie spotkać się możesz z przepisem, jak przyrządzić taką lub owaką potrawę, ale przekonujesz się, że do każdej potrzeba maki, masła, cukru, jajek, sera, mięsa i tym podobnych artykułów, które znamy z przed wojny. Nie mówię już o ryżu, migdałach, rodzynekach i innych specyjach, stanowiących dziś dla większości owoc prawdziwie zakazany. Nam trzeba czegoś, co dałoby się sporządzić z tego, co mamy pod ręką, a na razie rozporządzamy jeszcze dowolnie powietrzem, po części zaś i wodą, o ile jaka rura nie pękuje. „Pomysłowość aprowizacyjna” musi się więc w tym kierunku wyteńczyć, aby z tych dwu czynników, choćby w sposób fabryczny, sporządzić coś, co mogłoby nam zastąpić używane przez ojców naszych artykuły spożywcze. To byłby dopiero prawdziwie epokowy wynalazek i wówczas moglibyśmy się śmiać, choćby wojna miała potrwać jeszcze i lat piętnaście.

Jest przecież jeszcze jeden warunek i to pierwszorzędnej wagi. Jeżeli się uda to, o czem wyżej była mowa, niech też przypadkiem wyrobu i rozdziału owego nowego epokowego środka spożywczego nie przydzielą jakiejś centrali, bo cel będzie znów chybyony.

Wracamy jednak do owego „epokowego wynalazku”, o którym piszą *Neue Züricher Nachrichten*. Według informacji, jakich zasięgnąć zdołałem u znanych chemików, aptekarzy i członków różnych instytucji aprowizacyjnych i gospodarczych, na razie będzie się miało do czynienia z czemś, co sporządzone będzie z daleko pożywniejszych materiałów, niż powietrze i woda. Czy to owe „coś” będzie w stanie stałym, płynnym, czy lotnym, tego nikt dotąd nie wie, przypuszcza się przecież, że mieć będzie smak, przypominający coś pośredniego między zupą rakową, polędwicą garniowaną i lodami ananasowymi, prócz zaś wybitnych własności odżywczych posiadać będzie także i dezynfekcyjne, wobec czego organizm ludzki nie będzie odtąd narażony na żadne czerwunki, tyfusy, niestrawności, kataru żołądkowe i inne tego rodzaju dolegliwości, które nas dziś trapią, a mają związek z nie-regularnem, niedostatecznym i nieodpowiednim odżywianiem się osobnika. Nowy środek ma to mieć podobno do siebie, iż używany będzie w minimalnej ilości, najwyżej po kropli na raz, że więc przeciętny obywatel w kieszeni od kamizelki będzie mógł nosić zapasy spożywcze, na miesiąc przynajmniej starczące, jaką zaś potrawę się w danym wypadku sporządzi, to będzie zależnem jedynie od sposobu przyprawy owej kropli i... fantazyi jedzącego. Cena również ma być bardzo niską, przystępną nawet dla tych, którzy nie rozporządzają nawet halerzem...

Wszystko zależy jednak od tego, czy „epokowy ten wynalazek” ma się sporządzać z materiałów, których jest dość, czy też takich, których brakuje, w tym bowiem drugim wypadku miałyby się do czynienia z poważnymi trudnościami, na zwalczenie których byłoby potrzeba nielada energii.

Gdyby nadto w podobny jakiś sposób udało się zapobiedz mizeryi mieszkaniowej, opałowej, oświetleniowej i ubraniowej, wszystko byłoby w porządku i, pomimo wojny, moglibyśmy mówić, że nastały złote czasy...

Broń także Panie Boże, by to nie był przypadkiem jakiś surogat lub „*Ersatz*”, z jakimi dziś na każdym kroku się spotykamy, a świeżo mieliśmy sposobność przekonania się na piwie, co to za specjał. Po prostu gorzka woda i skutek potem zupełnie taki sam!... Ale ten „piwny zastępca” miał w każdym razie jedną zaletę. Szklanka kosztowała sześćdziesiąt, czy siedemdziesiąt halerzy, a satysfakcyi miało się więcej, niż nawet za dwie korony, a i to dziś coś znaczy, gdy medykamenta wszelakie tak podrożały, a olej rycynowy dostępny jest tylko dla najbliższej rodziny aptekarza, z obcych zaś dla milionerów.

O ile więc ze stanowiska higieny należałoby sobie życzyć, by „piwny *Ersatz*” znalazł jak najszerze rozpowszechnienie, o tyle znów, jako amator piwa, nie wróżę mu bynajmniej zyczliwego przyjęcia. Bieda więc będzie z gaszeniem pragnienia dla tych, którzy wody nie używają, zwłaszcza, że Węgrzy widocznie poguiewali się na nas i zakazali wywozić od siebie napój Gambrynusa, do którego zaczęliśmy się już przyzwyczajać. Politykowanie natrafia więc na coraz większe trudności, a napotka na jeszcze większe, gdy wejdą w życie karty tytoniowe, na których samo wspomnienie aż skóra cierpnie na każdym palczu. Lichy mamy tytoń obecnie i cygarzyska, ale przynaj-

mniej coś jest, gdy zaprowadzą karty, łatwo się stać może, że i tego braknie, choć zbiór liści bnkowych i kasztanowych był podobno wcale pomyslny.

A wiadomo, że politykowanie o suchem gardle i bez puszczenia wonnych dymków, co wpływa na rozjaśnienie i rozszerzenie światopoglądu, nie ndaje się zwykle. Wiadomo wszystkim, iż Bismarck, bezwarunkowo jedna z najtęższych głów, o ile to dotyczy polityki, był namiętym zwolennikiem piwa, a z fajką także nierad się rozłączał. W jakże więc trudnych warunkach znalazłby się dziś, gdyby mu danem było doczekać tak ciężkich czasów!

Gniewają się na mnie niektórzy z Czytelników, iż zbyt wiele miejsca poświęcam aprowizacji, ale w tem nie moja wina. Każdy mówi i pisze najchętniej o tem, co mu dolega, a dla mnie najboleśniejszym nagniotkiem, jeśli nie piętą Achillesową, jest właśnie aprowizacja, zwłaszcza, że mam ogromny respekt przed czerwinką, stojącą z nią w bezpośrednim związku. Kolorn czerwonego nigdy nie lubilem, politycznie także nigdy nie byłem czerwonym, ani nawet różowym, dziś więc nie myślę na starość zmieniać zapatrywań. Chętnie też zastanawiałem się do ponczenia fizykatu miejskiego, w jaki sposób ustrzedz się tego paskudztwa, które zwie się czerwinką i grasuje bezkarnie w Krakowie, jak gdyby on nie był gniazdem konserwatystów, ale stolicą międzynarodówki. Cóż jednak począć, gdy to ponad siły poszczególnych jednostek. Żyć higienicznie można, ale nie *tempore belli*, to jest w okresie najrozmaitszych braków, surogatów i t. d. Nawet, choćby nas wzięła w prawdziwą opiekę nowa Rada gospodarcza, która rozpoczęła właśnie urzędowanie, nie na wiele się to przyda, bo z próżnego i Salomon nie należy... Radzić, co jeść i pić, łatwo, ale trzeba, aby to i było!...

To tak energiczne zajmowanie się kwestyami aprowizacyjnymi wybaczy mi więc chyba każdy z Czytelników, działam bowiem nie tyle w interesie własnym, choć radbym, rzecz prosta, niepieć i swoją pieczeń przy tej sposobności, ale ogółu. Ze zaś aprowizacja to bynajmniej nie żadna bagatela, tego dowodem, iż nawet i radcy miejscy handlują świątami delikatesami, o czem wspominało na ostatniem posiedzeniu naszej Rady. Gdyby to bodaj te kiełbasy i szynki poszły były do naszych żołądków, nie narzekałbym bynajmniej, ale one pojechały sobie prościuteńko do Wiednia.

Już to, skoro o tem mowa, trzeba przyznać, że wiedeński pan Leo, nazywający się Weisskirchner, także ekscellencya, choć burmistrz, nie prezydent, dba o to, by Wiedeńczycy mieli czem zaspokoić apetyt i pragnienie i nie ogranicza się bynajmniej na obietnicach lub narzekaniach, że jest bezsilny, ale działa z całą męską energią, a nawet może zbyt energicznie. O węgle już się wystarał, o tłuszcz i mięso także, teraz zaś przyszła kolej na ziemniaki. Czyni się więc kroki, aby, skoro one, według fachowego orzeczenia dra Schleichera, tak wspaniale w Galicyi obrodziły, Galicyanom wyznaczyć po kilogramie na tydzień i osobę, a resztę zabrać do Wiednia.

A co na to nasze władze, mające mieć w opiece nasze żołądki?... Zapewne znów załamią ręce i powiedzą, że rozpoczną starania, by złe odwrócić, czy się jednak uda, za to nie ręczą, choć wiedzą, że się nie uda z pewnością. Jeśli więc zostaną uwzględnione ziemniaczane postulaty Wiedeńczyków, na każdego mieszkańca Galicyi przypadnie na dzień jeden ziemniaczek i to niezbyt wielki... Ten, kto wynalazł ziemniaki, chyba ani przypuszczał, do jakiego one dojdą znaczenia, że nawet w czasie festynów stanowiąc będą najcenniejsze wygrane. Na jednym z ostatnich, najbardziej zadowolonych byli ci wybrańcy losu, którym poszczęściło się wygrać kilogram ziemniaków. Dawniej nie byłyby ich tak cieszyły nawet ananasy!... Zamiast dni kwiatka należałoby więc może urządzać na dobroczynne cele „dni ziemniaka”, ale najmniejsza ofiara musiałaby wynosić przynajmniej koronę.

Z ziemniaków pędzi się spirytus, ze spirytusu robi się zaś wódkę, nie też dziwnego, że i ona ogromnie podrożała. Wobec braku ziemniaków byłoby przecież wskazanem, by władze zakazały wogóle pędzenia spirytusu, a przynajmniej ograniczyły jego produkcję do minimum, to jest, o ile jest potrzebnym dla celów leczniczych i przemysłowych.

Natomiast „piwosze” bardziej różowo mogą się zapatrywać na sytuację, niż amatorzy „silnej z mocną”. Rząd obiecał piwowarom dostarczyć odpowiednią ilość jęczmienia, ale pod warunkiem, iż zniżą ceny piwa. Przemysłowy to jednak ludek! Na razie, póki jęczmienia jeszcze niema, narzekając na ciężkie czasy, podniosą cenę piwa o dwadzieścia koron na hektolitrze, a potem, gdy obietnicy Rząd dotrzyma, zniżą znów o... dziesięć koron, to jest zrobią na tem całkiem brylantowy interes.

